

NOWY ŚWIAT



Izabela  
**SOWA**

---

Ścianka działowa

**Ścianka działowa**

*Proszę wybaczyć,  
że brak mi sił o ciebie walczyć.  
I tak już jest, że drogo płaci ten,  
który wybrał nic nie tracić.*

CZESŁAW MOZIL „TESCO VALUE” W SAM RAZ

Izabela  
**SOWA**

---

Ścianka działowa

© Copyright by  
Izabela Sowa, 2008  
[www.izasowa.pl](http://www.izasowa.pl)

© Copyright by  
Wydawnictwo Nowy Świat, 2008

Obraz na okładce:  
Adam Świergul

Projekt okładki i stron tytułowych:  
Agnieszka Herman

Redakcja:  
Katarzyna Kowalska

ISBN 978-83-7386-315-6

Wydanie I  
Warszawa 2008

Wydawnictwo Nowy Świat  
ul. Kopernika 30, 00-336 Warszawa  
tel. (22) 826 25 43, faks (22) 826 25 47

INTERNET: [www.nowy-swiat.pl](http://www.nowy-swiat.pl)

BLOG: [blog.nowy-swiat.pl](http://blog.nowy-swiat.pl)

KLUB CZYTELNIKÓW: [klub.nowy-swiat.pl](http://klub.nowy-swiat.pl)

E-MAIL: [wydawnictwo@nowy-swiat.pl](mailto:wydawnictwo@nowy-swiat.pl)

– W Huci tłuką po nerach, żeby śladu nie było, na Kurwanowie zdradzają. Jadą na Bagry i po krzakach takie rzeczy... – baba od zielebców chwyciła się za głowę. – Strach wymawiać. To którego dać ogóra, kochaniutka?

Dama z yorkiem w roli łasiczki wskazała interesującą ją okaz. Siedemnaście centymetrów, średnica pięć, żadnych przebarwień. Prawdziwy David Beckham; imponujący nawet dla doświadczonej w siekaniu mizerii damy.

– Ten może być – szepnęła, delikatnie się zarumieniwszy. – I jeszcze pęczek szklarniowych rzodkiewek.

– Dobry wybór! – pochwaliła baba i wróciła do ponurej wyliczanki. – Chłopy z Grzegórzek znowuż, to ci mają trzy ręce, jedna przy dupie do ściskania gotówki...

– Zostają jeszcze dwie – zauważył emeryt z Grzegórzek, nerwowo naciągając na pośladki oldskulową wiatrówkę po wnuczku gimnazjaliście.

– Obie lewe! – huknęła baba, sięgając po gitana, dla relaksu. – Tylko im donoś, a to, a tamto. Obsługa fullserwis na okrągło i jeszcze pilnuj, czy ci z domu nie wykrada kryształów, żeby powymieniać na pornusy.

– A nie myślała pani o cudzoziemcach?

– Gdzie tam! Jeszcze gorsi! Jeden taki Holender van Cośtam to ci swoją żonę w chlewiku trzymał i tuczył żółtym serem. Spleśniałym! A pietruszki, pani kochana, nie chcesz? Policzę dwie za jedną. Już pakuję!

– Znowu Niemce to perwersy – wtrąciła sąsiadka baby, handlująca niedojrzałymi cytrusami. – Tylko do Tajlandii jeżdżą, na seksturystykę. Z dziećmi, żółtymi – zniżyła głos – jak ten, proszę ja ciebie, młody pomarańcz.

– Coś takiego – zmartwiła się dama z łasiczką. – To jeszcze cztery pomidorki, ale czerwieniejsze.

– Zaraz zważymy, kochaniutka. O Anglikach bym marnego słowa nie rzekła, żeby tak nie pili. Ale piją – gorzko ciągnęła baba, wolną od papierosa dłonią podliczając należność. – Dlatego postanowiłam: koniec z facetami. Raz na zawsze.

– Chciałbym wiedzieć, kiedy był początek – szepnął do siebie emeryt.

– A cóż to Pana tak indaguje! Przyjdzie taki i zaczepia niewinną kobitę. Dlatego chłopstwa nie znoszę. Jak robali! I będę tępić, tępić bez litości!

\*

Znakomicie! Teraz podejdzie i zapyta, gdzie mógłby znaleźć Brzytwę. A jeśli baba wyjmie swoją i chłásnie Fiotronia po dżinsach, odcinając dorodne śliwki jego jąder? Może lepiej wycofać się zawczasu, nie ryzykując rodowych klejnotów? Ale przecież wiedział, co go czeka. Marian – mów mi Lans – Debeściak, stary kumpel i szefunio w jednym, ostrzegał, jak będzie.

– Najpierw podchody niczym na koloniach dla szóstoklasistów. Głupie zadania i dziwne sztuczki niegodne czasu prawdziwego mężczyzny. Ale kiedy wreszcie dotrzesz do Brzytwy – bezwiednie potarł kciukiem krótką linię serca przecinającą wewnątrz jego zadbanej dyrektorskiej dłoni – cóż, będzie bolało.

– Żałujesz?

– Nie miałem wyboru. Jeszcze tydzień, dwa i normalnie bym się wykończył.

– Z powodu kota? – zdumiał się Fiotroń. Debeściak wspomniał mu kiedyś, że sprawa dotyczyła łaciatego dachowca, którym opiekował się pod nieobecność kuzynki. A może to ona opiekowała się kotem Debeściaka, Fiotroń sam już nie wie.

– Słuchaj, stary, i tak wychlapałem Ci za dużo. Gdyby nie to, że w pierwszej klasie oddałeś mi swoje lego, a we wrześnieu... – Debeściak zawiesił głos, zastanawia-



jąc się, czy warto poruszać tamten, w gruncie rzeczy  
 błahy incydent w **Sarmackich Wywczasach**.

*Debeściak przebierał nogami już od maja. Że „koniecznie musimy się wybrać, stary koniu”, że po to właśnie wrócił ze Szwecji, chociaż tyle mu płacili na placówce. Jeszcze kilka lat, a byłby bogaty jak troll. Ale koniec leniuchowania, pora wstać z wygodnego fotela Ektorp, szable w dłoń, na koń i do boju!*

*– Przy okazji przepluczemy ząb mądrości dobrą polską wódką, nie ryzykując, że nam wypatroszą portfele – oznajmił Debeściak.*

*Co prawda ostatnią ósemkę stracił tuż po obrobie licencjatu, ale od czego wyobraźnia. Zresztą wódzia to tylko rozgrzewka. Naprawdę chodzi o zdrowe Polaków siekanie. Tak długo rozmiękczał gliniasty opór podwładnego i kumpla opowieściami o atrakcjach czekających ich spragnione pałazsze, że raz kozie śmierć, Fiotroń uległ. Pójdzie, zgoda, ale tylko w charakterze życzliwego obserwatora, zastrzegł natychmiast.*

*– Rozumiesz chyba, że w mojej sytuacji. Żona...*

*– Co tam żona. A duchy teściów? Wścibscy sąsiedzi? Oburzona opinia publiczna? Media szukające taniej sensacji? I nade wszystko własne odbicie w lustrze! – Debeściak zrobił przerażoną minę. – Dlatego masz u mnie sto punktów za odwagę, stary. Oraz*

gwarancję nietykalności. No chyba że zmienisz zdanie. Wtedy będzie się działo!

Nazajutrz wyszukali dwie smocze jamy w okolicach Bronowic.

– Jedna to za mało, tyle we mnie żaru – przekonywał Debeściak, klepiąc się po rozporku.

Na pierwszy ogień poszły Sarmackie Wywczasasy, gdzie zaoferowano szerszy wachlarz, niekoniecznie wykwinnych, rozrywek. A po wszystkim bigos. Albo żur, jeśli kto chciał uzupełnić poziom utraconych w bojach soków. Wkroczyli witani mrocznym uśmiechem kartofla odzianego w ochroniarski uniform A.D. 1612. Z korytarzyka oświetlonego łańcuchem lampek stylizowanych na łożowe świeceki wypłynęła właścicielka Wywczasów, bujna karawela w przebraniu Podstoliny. Oba kostiumy wypożyczono przed laty z teatralnej garderoby. Po miesiącu właściciel upomniał się o ich zwrot, ale krótka rozmowa z kartoflem przekonała go, by uznać stroje za drobny podarunek, na powitanie w świecie show biznesu! W zamian otrzymał zaproszenie na sobotnie igraszki w staropolskim jacuzzi (z pięćdziesięcioprocentową zniżką na masaż królowej Marysieńki). O dziwo, nie skorzystał do dziś.

– Witamy Wielmożnych Panów! Zapraszamy na pokoje! – ćwierkała Podstolina, mrugając firanami sztucznych rzęs. – Sikorki już czekają w błękitnym salonie.

– No, stary – szepnął Debeściak, podkreśliwszy wyimaginowanego wąsa. – Pora chwycić byka za jaja i pokazać.

– Chwycim, a jakże chwycim – zapewniła Podstolina, prowadząc ich do salonu. – I ściśnięm tak, że nam wszystkim pokaże. Ale najpierw powitalna wódeczka.

Rozlano stolnika. Po trzeciej setce Podstolina uznała, że najwyższy czas przedstawić sikorki.

– A oto prawdziwa mistrzyni buzdyganu – wskazała mocno nadkruszoną tu i tam szatynkę. – Doświadczona jak sama Ewa Pierdolonka.

Nie da się ukryć, pomyślał Fiotroń, z przerażeniem obserwując mistrzynię krążącą dookoła ich dzinsów marki Diesel. Czyj buzdygan wybierze? Niech to będzie Debeściak, niech będzie, zaklinał los, bohatersko się uśmiechając. Los dał się uprosić; mistrzyni obrała właściwy cel. Ledwie jednak chwyciła ofiarę za rozpalony do białości rozporek, stał się cud. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Debeściak rozplynął się w powietrzu, zostawiając po sobie subtelną smużkę najnowszego kenzo. I Fiotronia zmienionego w bryłę bocheńskiej soli. Sekundę później usłyszeli odjeżdżającą z piskiem beemkę. Fiotroń natychmiast odzyskał swobodę ruchów, uiścił rachunek (sto zeta plus ekstra za staropolskie powitanie) i świńskim truchtem podreptał do tramwaju. Nigdy nie wspominali tamtej

sobotniej wyprawy. Debeściak, zgodnie z wyznawaną od przedszkola zasadą, że tłumaczą się tylko niewinni. Fiotroń zaś z obawy, by nie stracić ciepłej posadki. Był przecież świadkiem... nie, nie chodzi wcale o rejteradę, a o to, co się zdarzyło kilka sekund wcześniej. Kiedy Pierdolonka dokonała słusznego wyboru, Fiotroń, odetchnąwszy z ulgą, zwrócił lekko głowę w stronę Lansy. Może chciał mu pogratulować albo dodać otuchy, sam już nie pamięta. Nagle dostrzegł spojrzenie Debeściaka i skamieniał. W jasnoblękitnych, pustych na ogół, oczach kolegi Dionizy dostrzegł rozpacz błazna, który dotarł na krawędź przepaści i uświadomił sobie, że nic nie ma już sensu, żadne gierki, wyglupy ani smocze jamy. A skoro nie, czy warto ciągnąć tę farsę? Nie skacz, krzyknął w myślach Fiotroń. Debeściak podniósł znużoną twarz i nagle zrozumiał, że Fiotroń wie. Usiłował się naprędce uśmiechnąć, co przypominało nieudolne próby wciągnięcia przyciasnych slipów jedną (tą rzadziej używaną) dłonią, a chwilę później znikł, zostawiając po sobie subtelną smużkę najnowszego kenzo.

Nazajutrz udawał radosnego jak zawsze, ale Fiotroń nie dał się zwieść pozorom. Z doświadczenia wiedział, że nic tak nie niszczy przyjaźni jak dług wdzięczności zaciągnięty u własnego bossa. Nawet jeśli to kumpel z piaskownicy. Na szczęście Debeściak stanął na wysokości zadania, pół roku później splacając

*wszystko wraz z odsetkami. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, podsunął Fiotroniowi odpowiedni kluczyczek. Uczciwie przy tym ostrzegając, że będzie szarpało.*

*– Ale jest lepsza niż toyota Hilux! I dlatego warto wybrać się na jazdę próbną.*

Pierwszą i jedyłą, powtarzał sobie Fiotroń, usiłując dotrzeć do tej, która miała mu pomóc. Która na pewno mu pomoże, o ile tylko on, Dionizy F. spełni wszystkie warunki. Na razie przeszedł trzy próby i miał wrażenie, że tuła się po gigantycznym urzędzie miasta, odsyłany z pokoju do pokoju przez zirytowane jego pytaniami urzędniczki. Żeby chociaż wiedział, jak owa Brzytwa wygląda. Może to ułatwiłoby poszukiwania.

– Wypatrywałbyś jej na ulicy? – zarechotał Debeściak, zaraz jednak spoważniał i gładząc się po centrum dowodzenia, usiłował znaleźć odpowiednie słowa opisujące aparycję poszukiwanej. – Więc, mocno upraszczając, stary, to powiedzmy... właśnie czerwona toyota Hilux. Toporna, bez wdzięku, trzęsie jak diabli, ale zawiezie cię aż na skraj piekła. Zresztą sam się przekonasz, kiedy już przekręcisz kluczyczek w stacyjce.

\*

– Słucham – niecierpliwiła się baba, odpalając od sąsiadki kolejnego papierosa. – Pan życzy....

– Kilogram sycylijskich pomidorów, cztery świeże figi, pięć dojrzałych limonek, awokado, sporego bakłażana i litrowy słoik miodu spadziowego – wyrzucił jednym tchem Dionizy. A niech tam, trudno. Trzeba jakoś wkupić się w łaski informatora. Przy okazji zaskoczy żonę, zwłaszcza miodem, na który są oboje uczuleni.

Bez słowa sięgnęła po słój. Ani cienia sympatii, o szacunku należnym kluczowemu klientowi nie wspominając. A przecież tak się starał babie zaimponować wybierając produkty z najwyższej półki. Nawet rottweiler dałby się zmiękczyć, ale nie ona. Musiałby ją popieścić sam David Copperfield. A i to ukradkiem, stosując sobie tylko wiadome sztuczki.

– Coś jeszcze?

– Owszem. Poproszę paczkę suszonych bananów, czosnek niedźwiedzi, dwa pomelo, świeży rozmaryn, duży pęczek koperku i wskazówkę, jak dotrzeć do... do Brzytwy – wydukał wreszcie, zasłoniwszy grubym portfelem okolice jąder.

– Do Brzytwy? Polki znaczy? To najlepiej przez chrzestną.

– A do tej chrzestnej jak?

– Cicho, właśnie myślę. – Baba wzięła głębokiego macha, przymrużając lewe oko. – Pójdiesz pan na bus, co leci spod kerfura przy Zakopiance, i poczekasz na kurs do Myślenic. Wypatruj pan takiej wysokiej, smagławej, z ogromnym afro.

– Na głowie?

– Na kolanach. – Baba przewróciła oczyma. – Wiadomo gdzie, tylko wam, chłopom jedno w głowie.

– Przepraszam – bąknął, kuląc się za górą cytryn.

– Więc ta chrzestna, zapamiętaj pan, wysoka, smagła, z afro NA GŁOWIE, zwykle bierze ostatni kurs po Januszku. Podejdiesz pan do niej, kupisz bilet do Myślenic, normalny, nie ulgowy, i dopiero wtedy zapytasz o Brzytwę. W tej kolejności.

– Dobrze.

– Na trasie powie, co dalej. No, to razem dziewięćdziesiąt cztery, dwadzieścia siedem. Niech będzie dziewięćdziesiąt cztery – oznajmiła tonem królowej podpisującej pierwszy w tym roku akt ułaskawienia.

– Naprawdę dziękuję. Z całego serca. – Fiotroń wręczył pieniądze i już miał ruszyć z kopyta, kiedy baba osadziła go jednym ostrym „zara”.

– Tak? – zapytał z trwogą w głosie.

– Zakupów żeś pan zapomniał. To są właśnie chłopcy. Bez głowy, nie dziwota, że jaja rządzą.

\*

Mógłby, rzecz jasna, polemizować w kwestii jaj, ale po co? Walka z chamem nie ma żadnego sensu, bo ten najpierw sprowadzi nas do swojego poziomu, a potem rozłoży na łopatki, wykorzystując przewagę wielu lat

doświadczenia. Dlatego Fiotroń zrobi to co dla higieny psychicznej najlepsze: potraktuje babę od zielebców przedmiotowo jak informatorkę w grze komputerowej. Uzyska odpowiednie wskazówki, zapłaci, ile trzeba i wskoczy na wyższy poziom. Najważniejsze to patrzeć w przyszłość i robić swoje. Dzięki temu można osiągnąć naprawdę wiele. On i Szarlota są tego żywym dowodem. Potrafili planować. W ostatni dzień wakacji już wiedzieli, gdzie pojedą zimą na narty. W noworoczny poranek, na lekkim kacu, obmyślali szczegóły następnego Sylwestra, tuż przed Zaduszkami robili wiosenne porządki. Ostatnio jednak... dziwna sprawa, bo kiedy spytał Szarlotę, co z Mikołajem, odburknęła, że jest za duża na dziecinne igraszki. Wprawdzie zaraz dodała, że mogą sobie sprawić akwarium, ale w jej głosie nie było dawnego entuzjazmu. Właśnie dlatego Dionizy tkwi teraz we mgle, piątą noc z rzędu wyczekując na chrzestną Brzytwy. Czy ją rozpozna? No raczej; niewiele kobiet prowadzi busy, zwłaszcza o tak późnej porze. Sporą nadzieję pokładał też w afro. Takiej fryzury, na głowie czy gdzie indziej trudno dziś nie zauważyć. O, coś jedzie, zaraz będzie wiadomo, czy czeka go kolejna noc we mgle. Bus zahamował ostro, Fiotroń natychmiast podbiegł, szarpnął za drzwiczki i zerknął. Bingo! Wgramolił się więc do środka, z trudem przedzierając się przez siaty z zakupami i gęstwinę afrykańskiego buszu. Jednak to nie fryzura chrzestnej zrobiła na nim największe wra-



żenie, a wąsy. Ciemne i nad podziw, rzekłbyś po męsku, obfite. Fiotroń przypomniał sobie teraz, że kiedy już odchodził z zakupami, baba napomknęła o wąsie. Spodziewał się jednak kilku włosków wyrastających w kącikach ust. Ot, zwykły postklimakteryjny dodatek towarzyszący zwiędłej szyi i przyciasnemu spodniom. Ale nie czegoś równie... dosadnego! Zrozumiałby jeszcze frywolny chaplinowski wąsik u girlsy tańczącej w nocnym klubie stylizowanym na przedwojenne niemieckie kabarety. Ale nie wąs marszałka u pięćdziesięciolatki z ogromnym afro na głowie. To naprawdę zanadto... I jeszcze te zapachy. Fiotroń, jako wierny użytkownik mondeo, nie miał pojęcia, czym pachnie podmiejski bus, wypełniony czynnikiem ludzkim po godzinach. Tanie piwo, niekoniecznie świeży pot, papierosy bez filtra, biała kiełbasa z grilla i całodzienne zmęczenie. Wymieszane w proporcjach – 6:4:7:3:11. Właśnie miał zemdleć, kiedy chrestna ocuciła go jednym celnym pytaniem: „dokąd”.

- Jeden do Myślenic, proszę – wyszeptał.
- Siedemnaście. Drobnymi, bo nie mam wydać.
- Chciałbym też zapytać, jak dotrzeć do Brzytwy.
- Do Polki znaczy? – odezwał się ktoś z tyłu. – To najlepiej bez ogródek przy...
- Zamknie dziób, bo z pojazdu wyrzucę – warknęła chrestna.
- Już nic nie mówię, szefowo. Buzia na kłódkę!

Chrzestna bez słowa wręczyła Fiotroniowi wydruk z kasy fiskalnej (erzac biletu), wrzuciła do odtwarzacza płytkę z największymi przebojami Abby i pomknęła drogą na Zakopane, tu i tam wypływając kolejnego pasażera. Wreszcie, kiedy zostali sami, chrzestna ściszyła muzykę i przyglądziwszy wąs, podała kolejną wskazówkę. Tym razem numer telefonu, zapisany na wymiętoszonym bilecie do kina. *Dzisiaj Kocham, jutro tańczę*, odczytał Fiotroń nie bez trudu. I nie bez zdziwienia. Kto by pomyślał, że chrzestna lubi cikliwe bollywoodzkie musicale.

– To mojego byłego. Telefon oczywiście – wyjaśniła, widząc minę Fiotronia. – Ma z Polką stały kontakt, przez książki. Ciągłe tylko latają do biblioteki. A potem jak te dwa mole! Rano, wieczór, a nawet w nocy! Ja to tam nie mam głowy do czytania – mruknęła wzgardliwie, potrząsając plastikowymi lokami. – Aha, tylko niech będzie sobą i powie wprost, że chodzi o Brzytwę. Żadnych przebieranek za szalonego antykwariusza. Mój były zaraz to odkryje i po rozmowie. Straszny z niego cykor, boi się własnego cienia – dodała tonem, który miał tłumaczyć wszystko. – Więc tylko szczerłość. Pewnie były i tak rzuci słuchawką ze dwa razy, ale wtedy wcale się nie zrażać, tylko próbować znowu parę dni później. Aż trafi na swoje pięć minut.

Podjechała do pustego przystanku.

– Tu go wyrzucę, bo dalej nie ma sensu. Zaraz będzie przelotowy z Zakopanego.

– A jeśli już jechał?

Byśmy minęli po drodze. Ale gdyby stał się ten cud, że nie przyjedzie, łapać okazje. – Póki są – mrugnęła znacząco. – Polecam TIR-y. Biorą, co stoi. Jeśli stoi. No to powodzenia!

Gdyby wiedział, że będzie łapać okazję o dziesiątej w nocy! Chyba nigdy nie zdecydowałby się na tę podróż. Trwałby dalej w dotychczasowym układzie, z drzeniem oczekując na kolejny fałszywy krok. A jeśli żaden by nie nastąpił (wszak oboje z Szarlotą są tacy ostrożni), a on by czekał i czekał, i czekał w nieskończoność? Potworne! Dlatego stoi tu na deszczu, wypatrując chętnego TIR-a. Przynajmniej ma złudzenie względnej kontroli. A gdyby, przyszło mu nagle do głowy, gdyby tak porozmawiać z żoną. Usiedliby sobie wygodnie na tarasie, sącząc popołudniową frappe. Zacząłby od filizanki Rosenthala, potem poruszył sprawę czerwonego swetra. Chociaż, zawahał się, może nie warto do tego wracać. Przecież nic wielkiego się nie stało. Zaabsorbowana poszukiwaniem kolczyków z błękitnymi perłami Szarlota nie zauważyła, że jej mąż ma na sobie sweter z kaszmiru. Jej ulubiony designerski raglan, który przywiozła mu z konferencji w Londynie. Jak mogła nie zauważyć? Jak mogła przeoczyć zmysłowy odcień karmazynowej czerwieni zwanej przez specjalistów działu marketingu Ferrari *rosso-corsa*? Ona, która zamawiała senczę w beżowym imbryku tylko wtedy, jeśli miała dopaso-

wany kolorem strój i lakier na paznokciach? A jednak przeoczyła. Kiedy zapytał, co ma włożyć, rzuciła tylko *rosso-corsa*, nie podnosząc oczu znad szufladki.

– Przecież mam go na sobie. – W jego głosie nie było irytacji, raczej zdziwienie.

Szarłota omiotła czujnym wzrokiem tors męża, natychmiast dodając:

– Faktycznie, zupełnie nie zauważyłam w tym pośpiechu. Przecież wiesz, mój drogi, jak nie cierpię się spóźniać do kina, a tu tyle szykowania. No i jeszcze biomet dziś taki niekorzystny. – Więc wszystko w porządku?

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pewien drobiazg. Kiedy bowiem Szarłota odwróciła głowę, Fiotroń dostrzegł w oczach żony coś, czego wcale się nie spodziewał.

\*

– Nie kupuję żadnych książek, gazet, starych map ani komiksów. Jestem wtórnym analfabetą na rencie – usłyszał Fiotroń, a zaraz potem trzask odkładanej słuchawki.

Nawet nie zdążył wyjaśnić, że dzwoni w całkiem innej sprawie. Chrzestna wspomniała wprawdzie, że jej były mąż bardzo się boi świata, ale taka reakcja zakrawała na paranoję. Najwyraźniej w samotności lęki

chrzestnego uległy, niecudownemu wcale, pomnożeniu. Cóż, będzie próbować do oporu, jak Szarlota z filiżanką Rosenthala.

*Wypatrzyła „Smak letnich dni” na Allegro. Przeczytawszy opis porcelanowego cudeńka, natychmiast wzięła udział w licytacji, przegrywając dosłownie w ostatniej sekundzie. Podjęła jeszcze cztery próby, wszystkie chybione, co tylko zaostrzyło jej apetyt. Oczywiście mogłaby podbić cenę tak, żeby nikt nie odważył się licytować dalej, ale to zupełnie nie w jej stylu. Jeśli bowiem Szarlota Fiotroń ma ochotę coś zdobyć, walczy uczciwie, bez uciekania się do tanich (choć drogich w praktyce) sztuczek. Przez najbliższe tygodnie trenowała refleks, licytując drobiazgi, a kiedy była już gotowa, przystąpiła do gry właściwej i w ostatniej sekundzie przebiła ofertę o jednaście groszy. Zwycięstwo miało miejsce w Dzień Świętego Mikołaja, uznali zatem oboje, że to niezwykle prezent. Co prawda kosztował Szarlotę trzysta dziewięć złotych i równowartość dwudziestu siedmiu próbek unikatowych perfum Rosine (rekwizyty treningowe, które bez żalu podarowała teściowej), ale było warto. „Smak letnich dni” stanął na honorowym miejscu, zdobiacz ich kredensik art déco.*

*I nagle zdarzył się wypadek. Fiotroń wszedłszy bez pukania do sypialni, zastał żonę nad skorupami filiżanki.*

*– Jak to się stało? – zapytał wstrząśnięty.*

*– Ścierałam kurze nową miotelkę i zbyt mocno się zamachnęłam. – Drżącymi dłońmi usiłowała zebrać porcelanowe okruchy. – Ach, w sumie to nic takiego. Bzdura. Już od jesieni myślałam o zmianie ekspozycji.*

*Czyżby się przesłyszał? Przecież zawsze mu powtarzała, że w jej rodzinie szanuje się przeszłość, nawet zakonserwowaną w postaci posrebrzanej łyżeczki. A tu proszę: bzdura.*

Teraz poczuł, że musi się śpieszyć. Zaraz po kolacji wymknął się do pobliskiego automatu, by wystukać numer chrestnego Brzytwy. Siedemnaście długich sygnałów i to wszystko. Potem kolejne próby, wreszcie, tydzień później, chrestny podniósł słuchawkę tylko po to, by od razu wyrecytować zwyczajową (jak się później okazało) formułkę. Żadnych książek, map, komiksów, wtórny analfabetyzm, renta. O dziwo, dodał jeszcze „do widzenia”, a zaraz potem się rozłączył, doprowadzając Dionizego do szewskiej pasji. Po trzech podejściach Fiotroń pomyślał, że musi być równie wytrwały jak Szarlota. Będzie dzwonił dotąd, dopóki nie nawiąże satysfakcjonującego kontaktu. Co godzinę, co kwadrans, codziennie.